

# Syndrom sztokholmski czy plan Rapackiego?

14 czerwca 2023

Zaistniałe w ostatnim czasie nurty pokojowe lub debaty antywojenne charakteryzuje podejście przez pryzmat wielkich i uzasadnionych obaw związanych z Ukraińcami, albo są próbą sondowania, jaki plan mają dla Europy Środkowej Amerykanie. Własnej koncepcji, poza strachem powtórzenia się historii, brak. Szkoda, bo dopiero to jest zmartwieniem.

Niezrozumiałe jest, że nikomu po dekadach amerykanizacji nie przychodzi do głowy koncepcja broniąca nas przed jednym i drugim koszmarem.

Dlaczego dopiero teraz, w obliczu zagrożenia globalną wojną, dostrzegane jest potencjalne fiasko Polski? Ukraina przegrywa i przegra, bo jak mówi o tym jeden z wielu analityków amerykańskich Larry Johnson- o fiasku, pomijając brak należytego szkolenia, przesądza brak własnego zaplecza produkcyjnego Ukrainy. Do wojska rosyjskiego, na którego potrzeby pełną parą pracuje rosyjski przemysł zbrojeniowy, transporty docierają bez przeszkód. Ukraina znalazła się w sytuacji ustawicznie apelującego o datki, sprzęt i amunicję, a te z przyczyn politycznych (opór podatników) i logistycznych, nie załatwiają potrzeb frontowych. Z takich samych powodów przesądzony jest zatem los Polaków, gotowych znów czekać na zrzuty.

Jeżeli liczący się do niedawna w polityce i realizowanych celach wojskowych ludzie pokroju Scotta Rittera, Larry'ego Johnsona, Douglasa Macgregora, R.F. Kennedy'ego, mimo ogromnej popularności nie mają wpływu na aktualną politykę ideologów wyznaczających kierunki administracji amerykańskiej, to z kim w upadłej Ameryce mielibyśmy rozmawiać o pokoju? Amerykanie mają resztki nadziei, że następca Joe Bidena odwoła swoich

żołnierzy z baz, kończąc politykę interwencjonizmu, by przejść do normalnych relacji gospodarczych. Wysiłki zmierzające do oskarżenia Donalda Trumpa i aresztowania przez skorumpowane lobby wojenne przekreślają ten kierunek. To jednak ich wewnętrzna, choć zasadnicza sprawa, zaś sam incydent z aresztowaniem potencjalnego kontrkandydata w wyborach najlepiej obrazuje metody przedwyborczych zmagania. Ten styl nie imponuje społeczeństwom cywilizowanym. Z tego powodu, na samą myśl o pytanie Amerykanina o plan dla Europy, czy Polski traktuję z goryczą jako przypadek syndromu sztokholmskiego.

## **Obawy**

W rozważaniach o naszej przyszłości wiemy, czego nam trzeba, by zdrowe relacje dzieliły nas bezpieczną odległością od Ukrainy jako sąsiada. Oczekując spełnienia warunku przyznania racji w wyrządzonych Polakom krzywdach w przeszłości, możemy dopiero zacząć określać dalsze relacje.

W imadle ekonomicznych sił gdzie najbardziej liczy się pieniądz, od niego należy zacząć korygować relacje polsko-amerykańskie, którymi skaleczono naszą gospodarkę. Od naprawy tego wątku zaczynając, można byłoby przetestować, czy strona amerykańska w ogóle nadaje się do istotnych rozmów. Pomyślmy, czy można nazwać poważną umową dokument, w którym jedna ze stron będąca dostawcą, deklaruje sprzedaż i dostawy broni oraz sprzętu, zastrzegając, że nawet jeśli nie wywiąże się z deklaracji, jakieś pieniądze należy jej wypłacić. Kto podpisał coś podobnie kryminalnego? Bez uznania tych umów za niedopuszczalne w myśl prawa krajowego i międzynarodowego nie ma partnerstwa. Tak skonstruowane są złodziejskim pomysłem z domniemaniem korupcji.

## **Rozwiązania**

Przyjęcie zapomnianego „planu Rapackiego” pozwoliłoby odzyskać podmiotowość i neutralność państw Europy Środkowej. Połączone

z weryfikacją umów międzynarodowych zawartych pod presją (zagrożenia wojennego), czyli w świetle prawa – nieważnymi, przywróciłoby priorytety gospodarcze zamiast stromej ścieżki militaryzacji wzorem Korei Północnej.

Im poważniejsza w sensie znaczenia i wartości przedmiotowej treści umowa, tym wnikliwsze są prawne zabezpieczenia interesu przed wzajemnym uchybieniem w celu przeciwdziałania nadużyciu zaufania. Przy braku takich zabezpieczeń wyobrażam sobie umowę na piśmie z sąsiadem, który żąda, by interesujące mnie jego auto kupić na jego warunkach, a jeśli nawet odstąpię od transakcji, będę zmuszona mu zapłacić za ów pojazd jak za działkę na księżycu, której nigdy nie obejrzę.

Każda poważna umowa międzynarodowa zawiera niezmiernie istotną klauzulę jako fundamentalną w prawie cywilnym - „force majeure” traktowana jako mająca wagę złota. Jej sens jako „siły wyższej”, która występuje poza możliwością kontroli stron zawierających daną umowę, upoważnia do tego, że okoliczności, jakie są zrzędzeniem natury (kataklizm powodziowy, pożary, wojna, strajk generalny w komunikacji państwowej), decydujące o niemożności wywiązania się z umowy, pozwalają odstąpić od jej realizacji, albo ją czasowo zawiesić. Stronie nie można przypisać winy za zaistniałą „siłę wyższą”, tym samym wywiązanie się z niej wygasa. Takie zabezpieczenia prawne wymyślili mądrzy i biegli w prawie strzegąc interesu państwa, które ich wykształciło i upoważniło do reprezentowania interesu państwa, co za tym idzie – jego obywateli. Bez tego rozwiązania nie będzie poprawy gospodarczej, tym bardziej politycznej. Pora umierać, by nie patrzeć na męczarnie, bo komu system nie naruszył od piwnic po strych wszystkiego, ten łądzić będzie się, że zachowa się transparentnie stojąc grzecznie z boczku, kulturalnie na miarę oczekiwań nadzorców z piekła rodem. Niestety, to jest postawa kunktatorska, okrzykiem na hybrydowej wojny barykadzie, której częścią jest przekonanie, że Ameryka jest wiecznym cudem świata. Tak jak podczas covidowego zauroczenia ekspertów, peregrynacje wojenne

padają na ten sam grunt. Może lepiej od razu poddajmy się, żeby nie patrzeć na zrównanie z ziemią jak w powstaniu warszawskim, a potem smętne lektury pisać i cyfrowe filmy o kanałach robić.

Uważniej słuchający nawet tych krytycznych wobec własnego kraju facetów zza oceanu, powinni byli dosłyszeć kategoryczne stwierdzenie Rittera w jednej z jego stałych audycji: „Ludzie w Europie! Ameryka nie jest i nie będzie waszym partnerem, Ameryka ceni tylko własny interes”. Ceni też tych, którzy potrafią postawić się jej, choćby na tyle, na ile potrafi Victor Orban stosując polityczno-gospodarczy dribbling. O Unii Europejskiej bez skrupułów mówił George Freedman, że Komisja Brukselska jest niczym zarząd firmy, sekretariat NATO. Rada Atlantycka z jej polskojęzycznym przedstawicielem w parlamencie kontynentalnym jest niczym rada nadzorcza struktury aspirującej (na razie dwukrotnie bez powodzenia) do nazwy Stanów Zjednoczonych Europy. W każdej z tych instytucji prym wiedzie chorobliwie amerykańofilna postać, czyli globalista widzący świat jako jeden, zamieszkały przez zmiksowanych etnicznie mieszkańców z obywatelstwem kontynentalnym, zdobyty po piramidalnych ilościach trupów. Arivedere jeśli tego pragnie większość.

Autorstwo: Jola

Źródło: WolneMedia.net